

Grzegorz Kalinowski
Bydgoszcz

Talida

Talida miała dwanaście lat. Byliśmy rówieśnikami. Minęły cztery miesiące od naszej rozmowy, wtedy, latem, w sierpniu, nad mulistym i płytkim jeziorem, gdzie przebywaliśmy na letnim obozie dla dzieci, niedaleko naszego miasteczka. I po tych czterech miesiącach Talida leżała w grobie, na tym samym cmentarzu, na którym leżała moja babcia, kilka rzędów grobów dalej, w położonej, prostopadle do mogiły mojej babci, alei dębowej, pod rozłożystym dębem.

Szliśmy, wtedy, schodząc powoli ze wzgórza, pośród gromady dzieci, w tym samym wieku co my, na plażę przy mulistym i płytkim jeziorze, boso, szeroką leśną ścieżką pokrytą mchem, szpilkami i szyszkami. Zatrzymaliśmy się nagle, jakbyśmy się wcześniej umówili, albo jakby ktoś tak nam nakazał, a tak przecież nie było. Po chwili milczenia zaczęliśmy rozmawiać. Mówiła szeptem, ja też mówiłem szeptem, a dzieci, radośnie śpiewając harcerską piosenkę, szły dalej w dół, by kąpać się w mulistym i płytkim jeziorze i opalać na spalonej słońcem trawie.

Stanęliśmy więc nagle, ni stąd ni zowąd, i stojąc tak, wpatrzni w siebie, rozmawialiśmy szeptem, wtedy, w sierpniu, w letni gorący poranek, pod rozłożystym dębem, na leśnym wzgórzu, na którym rosły dęby, świerki, sosny i skąd schodziło się do mulistego i płytkiego jeziora. Wzgórze wznoszące się ponad piaszczyste ścieżki, paprocie i krzewy, gałęzie, tu i ówdzie porastał mech. Rośliny wypełzające zeń i oplatające, po jakimś czasie, połamane i zmurszałe gałęzie i te, które rosły najbliżej ziemi, miały nienaturalne barwy, jakby ktoś rzucił na nie urok, pomieszał kolory na monstrialnej palecie szalonego pejzażysty i zaczarował całą tę przestrzeń. Napastliwe w pomieszaniu i śmiertelnie chore w bezrozumnych i w beładnych konwulsjach pnącza wdzierały się na oślep pomiędzy drzewa. Zda-

wało się, że niebawem pochłoną je, zaduszą i pokryją równie nienaturalnymi chorobliwymi barwami, takimi samymi, jakimi one były pokryte. Ze wzgórza, na którym staliśmy, był najlepszy widok na okolicę. Przed nami rozpościerało się niebieskie lustro jeziora. I choć było płytkie i muliste, nie pozwalało wątpić o swej złowieszczej naturze. Wiatr marszczył jego powierzchnię drobnymi falami niczym sadzawkę. Do brzegu przycumowały dwie żaglówki, trzy pływały po mulistym i płytkim jeziorze, daleko od brzegu. Żeglarze opuścili żagle i, zdawało się, że odpoczywają pod pokładem po nocnych trudach żeglowania. Słońce już mocno świeciło. Zapowiadał się upalny dzień. Wielkie ptaki powoli przelatywały nad lasem, wydając ostre krzyki. Leciąły w naszym kierunku, ku wzgórzu porośniętemu mchem. Siadały na gałęziach dębów, świerków i sosen. Ptaki były kolorowe i, tak jak wszystko tu, chore, niepojętym nadmiarem. Niepojęty był tu też nadmiar mułu i nadmiar jeziornej płycizny, nadmiar nieokreślonego braku w, na pozór, malowniczym pejzażu, niepojęty był wreszcie nadmiar kolorów. Ptaki wydawały się nierzeczywiste, zupełnie jak te z męczących snów. Lądowały na zatrutych i pobielonych ptasim kałem kikutach uschniętych drzew rosnących tuż nad brzegiem mulistego i płytkiego jeziora. Niektóre nie dolatywały do celu. Nie wiadomo dlaczego spadały na plażę, pomiędzy schnące drzewa a także pomiędzy te rozkwitające chorą zgniłą zielenią, niektóre spadały na rozgrzany piasek, na wzgórze porośnięte mchem, inne spadały i tonały w mulistym i płytkim jeziorze, by po chwili już martwe, wypłynąć na powierzchnię i unosić się na niej, pęczniąc w gnijącej skrzydlatej martwocie, jeszcze inne unosiły się ku górze, ku słońcu, rozpościerając wielkie skrzydła. Wydawało się, że starają się ominąć to chore i zatrute miejsce. Trupią ptasią scenerię oświetlało słońce nieokreślonym, pod każdym względem, światłem.

I właśnie wtedy Talida mi powiedziała. Nie wiedziałem, dlaczego mi powiedziała. Mogła powiedzieć komukolwiek, tak myślałem, a wybrała mnie. Stałem się więc jej powiernikiem, tylko ten jeden raz, i nie wiedziałem wtedy, że po raz ostatni. Może dlatego wybrała mnie, bo domyślała się albo wiedziała, że ja też. Widziałam ją, powiedziała, widziałam, przestraszyłem się, kogo, zapytałem, no, przecież wiesz kogo, też ją widzisz, powiedziała, gdzie, zapytałem jakbym się z nią zgodził, że też ją widzę, może, a nie byłem pewien, że ją widzę kiedykolwiek i gdziekolwiek, no tam, tam daleko, tam daleko w dali i we mgle, za polami, za lasami, za górami, tam, odpowiedziała, a jak wyglądała, zapytałem, przecież wiesz, wyglądała jak zawsze, tak samo. Później nastąpiła cisza. W końcu Talida poprosiła, bym nikomu o tym nie mówił. To będzie nasza tajemnica, powiedziała, a jak ją zdradzimy komukolwiek, to ten ktoś wyśmiej nas i powie, że mamy źle w głowie, dodała. Zgodziłem się z nią.

Talida miała długie czarne włosy. Na czole czarną przepaskę. Spojrzałem wtedy, w sierpniowy poranek, na wzgórzu, w jej oczy. Dwie wąskie szparki pod

wpływem słonecznego światła nagle otworzyły się, jakby budziła się ze snu, a były niebieskie jak tafla mulistego i płytkiego jeziora. Oczy te, łagodne i duże, sarnie i bezbronne oczy powiększyły się nagle i po chwili zapadły się gdzieś w głąb. Odbijało się w nich, jak w zwierciadle, wszystko. I nagle to wszystko zapadało się gasnąc gasnąc na wieki. I był w tych oczach kres, jej kres, który dostrzegłem, gdzieś w głębi błękitnej i nieuchwytniej, i w oczodołach, i w ocienieniu, kiedy mówiła, mrużąc je, bo słońce mocno świeciło. Połączyła nas, wtedy, gdy staliśmy na szerokiej piaszczystej ścieżce prowadzącej z leśnego wzgórza do mulistego i płytkiego jeziora jakaś tajemnica.

I było zupełnie tak, jakby niewidzialna kapłanka dokonywała tu, na wzgórzu, skąd szeroka ścieżka wiodła do płytkiego i mulistego jeziora dziwnego rytuału zaślubin światła i mroku, wypowiadając równie nieodgadnione zaklęcia. Dlaczego to, co mi wtedy powiedziała, dręczy ciągle, dotąd, i na wieki wieków, na jawie, zupełnie tak samo jak te widziadła po nocach, myślałem. Nie wiedziałem, czy Talidę, tak jak i mnie, dręczyły po nocach senne widziadła, takie same jak moje widziadła. Nic mi wtedy o swoich nie powiedziała. To, co ofiarowała mi wówczas, no właśnie co to było, w sierpniowy poranek, dwunastoletnia dziewczynka, wówczas moja rówieśnica, było darem, ale darem przeklętym.

Nie wiemy co snem, nie wiemy co prawdą i błędzimy w tym smutnym świecie, w milczeniu, każdego dnia i nawet, jeśli wypowiadamy jakieś słowa w trwodze, to tak, jakbyśmy milczeli, a głębia tego milczenia jest jak głębia grobów. Bo tam w tej głębi kłębi się coś, o czym nie chcemy wiedzieć, co skrywa się przed naszymi oczyma. Tylko wtedy, gdy jesteśmy cieniami, nad tą otchłanią, jesteśmy bezpieczni w tym świecie. Są rzeczy nigdy niewidziane, są dźwięki nigdy niesłyszane, są odczucia nigdy nieodczuwane, których tego, że są, nie można dowieść. Nawet jeśli nikt tego jeszcze nie próbował, pobiegnie i tak w końcu za nimi, za tym co niewidziane, niesłyszane i nieodczuwane, choć nie będzie wiedział dokąd i dlaczego biegnie. Chwyci je, nie chwytając, dogoni, nie doganiając, zanurzy się w pustym nadmiarze, a w pewnej chwili wpadnie do dołu, który był tylko cieniem na drodze... i ja wtedy byłem jak cień i biegłem za Talidą i nie wiedziałem, że wpadnę do dołu, który był tylko cieniem na drodze... Wtedy, na leśnym wzgórzu, z którego wąską ścieżką, rzędem i w popłochu jak przed zbliżającym się kataklizmem, w dół pomykały jaszczurki, schodziło się do mulistego i płytkiego jeziora.

Talida powiedziała mi, że nocami, kiedy już wszyscy śpią i jest cicho, zapisuje w grubym zeszycie w linie, zamykanym kluczykiem na małą metalową kłódkę, myśli swoje ... zapisuje to, co widzi tu, i to, co się tu dzieje, i to wszystko, co tu słyszy ... powiedziała, że jest w tym, co pisze, jej smutek, i jej tęsknota, powiedziała, że niebawem będzie musiała, bo już dalej nie potrafi, przyrządzić sobie

napój, nie wie jeszcze z jakich składników, z jakich ziół, i że go wypije ze złotego kubka, kiedy nikogo nie będzie w domu, powiedziała, że wtedy zejdzie w głąb tego świata, który ją przywołuje nocą, powiedziała, że boi się ciemności, a kiedy właśnie nocą odsłania ciężkie zasłony, otwiera okno i wpatruje się w nie, wtedy boi się, a najbardziej, powiedziała, boi się, że to stanie się niedługo, powiedziała, że pragnie tam podążać, no tam, wiadomo przecież gdzie, powiedziała zniecierpliwiona, powiedziała też, że nie chce tam podążać, przecież ma dopiero dwanaście lat, i niby dlaczego ją to spotyka, no to wszystko, to pragnienie i trwoga, ale, powiedziała, nie ma to, tak naprawdę, nic do rzeczy, powiedziała, że nigdy już, z tej podróży, tu nie powróci, bo stamtąd się nie wraca, bo nie można stamtąd wracać, albo nie chce się stamtąd wracać, powiedziała, tam jest cisza tak wielka jak to nasze ciche i płytkie jezioro, ale nie, nie takie płytkie, powiedziała, tylko głębokie niewyobrażalnie, albo jak morze lub ocean, tak, tak jak ocean, tam nie ma żadnych głosów, niczego, orkiestry na dnie oceanów zamilkły nagle, powiedziała, że tam jest nieskończona biel i czerń w tej samej chwili, światło i mrok splatają się w nie wiadomo co w tej samej chwili, powiedziała też, że jest w tym, co zapisuje wszystko, co spotka jej mamusię i jej tatusia, co spotka jej młodszą siostrę i co pewnie także spotka i mnie, a może, powiedziała, ja tak naprawdę nigdy nie byłam i nigdy nie będę, powiedziała, i może tak naprawdę nigdy nie umarłam, nie umieram, nie umrę, powiedziała, będę się błąkać po świecie i w zaświatach, jakbym jednocześnie żyła i nie żyła, jakby to wszystko było tylko, albo aż snem, powiedziała, ona ... ONA, przychodzi nie tylko nocą, przecież wiesz, przychodzi także o świcie, powiedziała ...

I było w tych słowach dziecięce jasnovidzenie, które zrodziło jej trwogę, moją trwogę, trwogę, która nas połączyła. I było też w tych słowach coś, o czym wiedziałem nie wiedząc, od jakiegoś czasu, przyglądając się rodzicom Talidy, kiedy spacerowali jak cienie po ulicach naszego miasteczka, kiedy spacerowali po parku zdrojowym jak cienie, kiedy zatrzymywali się nad jednym z dwóch stawów i wpatrywali w mętne i cuchnące wody, jak cienie, i było też w tych słowach coś, co ich trwogą napełniało, choć nie wiedzieli, że ona to mi powiedziała, że to właśnie myśli i tak właśnie myśli, spoglądali tylko na swą córkę i lękali się, i dręczyli, i nocami płakali, a kiedy o świecie wychodzili z domu, szli ulicami jak lunatycy. Dni mijały a oni bali się coraz bardziej bali się ... rano wieczór we dnie i w nocy skąd to i dlaczego to i nie wiedzieli dlaczego to i co to w ogóle i nie wiedzieli dlaczego dzieje się to co się dzieje, a co zaledwie przeczuwali i co czaiło się gdzieś, nie wiadomo gdzie gdzieś tam ... czym jest to, co zawsze trwa ... czym jest to co się zawsze rodzi i nigdy nie istnieje ... zapytała nie wiadomo kogo ...

I poszliśmy, w końcu, w dół szeroką ścieżką ku brzegowi mulistego i płytkiego jeziora. Wszystko w tym lesie – rozedrgane powietrze, płytkie wody jeziora, polana, zagajniki, lasy, sosny, dęby i modrzewie, ptaki, jaszczurki, ludzie, to co

widać i to, czego nie widać – trwało wszystko w tym lesie jak błysk, który nagle rozbłysnął i zgasł, jak czar, który objawił potworność skrytych mocy i by nieco ją złagodzić, natychmiast znikł. Im bardziej był, a na mgnienie był, tym szybciej przestawał być.

Minęły cztery miesiące od naszej rozmowy, nad mulistym i płytkim jeziorem, kiedy mi powiedziała. Rozpoczął się rok szkolny. Była już późna jesień, koniec listopada, dni stawały się coraz krótsze. Czarne ptaki, zupełnie inne od tych wielkich kolorowych, widzianych wtedy, w sierpniowy poranek nad mulistym i płytkim jeziorem, krążyły nad naszym miasteczkiem. Wyglądały tak, jakby zmieniały upierzenie na ceremonię żałobną. Przysiadają na dachach pobliskich domów. Gromadziły się na polanach, w parku.

Z kominów unosił się dym. Chłód szedł od pól i przenikał wszystko – ludzi, zwierzęta, lasy, ogrody, parki, stawy i łąki. Oszronione puste pola stały w białej mgle, a ciemności zapadały coraz wcześniej. Słońca wtedy już prawie nie było. Gubiliśmy się w tych ciemnościach i we mgle rano, kiedy szliśmy z domu do szkoły, gubiliśmy się i po południu, gdy wracaliśmy po lekcjach ze szkoły do domu, gubiliśmy się tym bardziej o zmierzchu, kiedy udało się nam czasem wymknąć na dwór. I nawet wtedy, kiedy biegając po polach, słyszeliśmy dzwony.

... pewnego wieczoru Talida umarła nagle zgasło światło w willi w której mieszkała wraz z rodzicami i siostrą zapadły ciemności jakby światło zgasło w całym mieście nie tylko w ich domu a pola wokół miasta były puste mieszkali na peryferiach miasta tuż przy parku niedaleko naszej oberży i była wtedy sama w domu siostra została na noc u babci a rodzice wyszli do kościoła na wieczorne nabożeństwo ojciec był organistą w kościele w którym pająki snuły w sklepieniu kopuły sieci kiedy wzruszeni rodzice Talidy trzymając się za ręce wracali po mszy i koncertu organowego który odbył się zaraz po wieczornym nabożeństwie a grał Bacha *Passacaglia i fugę c-moll* i wszyscy wierni trwali w zachwycie wreszcie zobaczyli swój dom ...

... dlaczego tam tak ciemno, zapytał ojciec Talidy ... a matka nic nie odrzekła ... z niepokojem spojrzała w kierunku, który wskazywała ręka męża ... a było czarno ... i nagle zniknęli w tej czerni... przy płocie pochyłona stała ...

Po kilku dniach był pogrzeb. Nikt nigdy nie dowiedział się, dlaczego umarła. Ludzie pletli trzy po trzy. Mówili, że matka Talidy, po pogrzebie, codziennie, kilka godzin spędzała na cmentarzu, stojąc nad grobem córki, pochylała się nad nim i szeptała do umarłej. Po jakimś czasie, mówili ludzie, po jakimś czasie, ojciec dołączył do żony i razem, mówili ludzie, razem stali nad grobem, matka i ojciec, i szeptali do umarłej córki.

Minęła jesień potem zima i wiosna. Nastąpiło lato. Wyjechałem w sierpniu do tego samego lasu. Pobiegłem na wzgórze, z którego był najlepszy widok na okolicę. Słońce świeciło jak wtedy, jak rok temu. Ale płytkiego i mulistego jeziora już nie było. Wyparowało albo spłynęło gdzieś w dół.